

Nike, co znika

I tak będzie. Bo właśnie kończy się trwające od wiosny odliczanie, kiedy zdecydowano, że „Nike” (czytaj „nike”, nie „najki”) znika. Mimo nagabywań, przekazów podprogowych i drobnego szantażu emocjonalnego – nieodwołalnie. Nowy rok Łódź przywita uboższa o inicjatywę niewielką metrażem, lecz wielką historią. Bo 35 lat (i pół) w życiu młodego miasta to znacznie więcej niż gdzieś indziej. Przy Struga 3 nie będzie już witryny pełnej nowości o Łodzi, i nie-nowości, ale zawsze godnych polecenia – a także np. nowych wydań i odnalezionych książek Wisławy Szymborskiej, poetki tutaj szczególnie lubianej. Bo nie napinającej się, nie eksponującej, obserwującej bieg życia z dystansu – jak zza księgarskiej szyby. Nie będzie też oglądanych z ulicy map zakątków bardziej odległych i egzotycznych niż fabryki Scheiblera i Grohmanna, których fotografii i rycin wciąż pełno na ścianach. A w środku braknie: fachowej porady – dla każdego; rozmów o ostatnich lekturach i wydarzeniach w kulturze łódzkiej i polskiej – dla znajomych i tych klientów, którzy przeszli „selekcję” surowego księgarskiego oka; filiżanki kawy lub herbaty parzonej w majolikowym dzbanku – dla znajomych, przez gospodarza pitej w tyci filiżance z bolimowskiej ceramiki. Zgodnie zresztą z tekstem „Poematu herbacianego”, niskonakładowej publikacji (jednej z dziesiątek) przygotowanej przez tych, dla których książka, druk i słowo to coś więcej niż hobby, zawód, interes – dla siebie podobnych.

Takie miejsca i ich właściciele obrastają w rytualne zachowania, w nawyki, humory i gesty zdradzające osobowość gospodarza. Zwłaszcza, gdy nic już nie musi, a wiele może. Może na przykład nie przyjąć płatności kartą – bo czytelnika (przypominającego raczej dziurkacz) używał jako jeden z pierwszych w Łodzi. A dziś nie musi. Zatem – tylko gotówka. A książki podaje księgarz – za złamanie Prawa karą jest chłodne spojrzenie, czasem cięta uwaga. Obrastają też ludźmi, bo ludzie lubią takie miejsca i potrzebują ich – by utwierdzać się w przekonaniu, że nie wszystko jest towarem, że nawet w handlu są przestrzenie wolności i pasji. Gdyby tak nie było, w ostatnich tygodniach kurier nie przyniósłby Januszowi Karolowi Barańskiemu (i jego małżonce) kwiatów i listu od bliżej nieznanej klientki, dziękującej za prowadzenie tego „Domu Książki”. A przecież informacja o zamknięciu nie jest powszechnie znana. Często obrastają stałymi bywalcami profesji bliskich doświadczeniu gospodarza: podróżnikami, przewodnikami, taternikami, pisarzami, wydawcami, bibliofilami, dziennikarzami. „Pan myśli, że ja tego nie próbowałem...”. Cóż, wiem już, że tak. Ale gdy nie wiedziałem, prawie dekadę temu, pisząc o „Nike” z Karola zrobiłem Andrzeja i następnego dnia w redakcji zadzwonił telefon – z informacją o drukarskim chochliku i z zaproszeniem. Od tego zaczęła się kooperacja skutkująca wydobywaniem pod szyldem „Biblioteka łódzianina” publikacji niszowych, ważnych lub wydawniczych kuriozów, np. z nieistniejącej już Oficyny Bibliofilów. Księgarnia stała się biblioteką. Aż proporcje odwróciły się: chodziło o to, by w „Nike” rozgrzać się lub ochłodzić herbatą, a dopiero coś kupić – nowość lub wydobyty skądś archiwalny druk (o, jaki ciekawy kieszonkowy Norwid...). Tylko czy tak można prowadzić księgarski biznes w mieście Łodzi? Klub i przystań dla znajomych – na pewno. Do którego w godzinach pracy można wpaść bez zapowiedzenia i na pewno będzie otwarte. Miejsce rozmów, czasem sporów, często srogich recenzji. O przeprowadzce do powojennej Łodzi, ojcu który zginął w powstaniu i o przyznawaniu się do niego w czasach, gdy nie było to zgodne z „polską racją stanu”. O harcerstwie, pracy w urzędzie, jazzie, sympatyzowaniu z „Solidarnością”, o odejściu na swoje. O pokoleniach łódzkich dziennikarzy, którzy mieli tu swoją mekkę. I o mężczyznach w płaszczach, którzy lubili tu zaglądać i zadawać niezręczne pytania. O Janie Kobuszewskim i Edwardzie Dziewońskim, którzy szukali tu książek pozostawiając zaproszenie do Warszawy. O Krzysztofie Zanussim, który wszedł, robiąc przerwę na planie zdjęciowym i został na dłużej. O Guyu Sormanie, który podpisywał tu swoje książki, m.in. „Wyjść z socjalizmu” – na długo nim zaproszono go na łódzkie Igrzyska Wolności trzy lata temu. O wszystkich, którzy mieli tu wieczory autorskie (jak nasz redakcyjny kolega Piotr Grobliński) lub których zamknięto na zapleczu pod rygorem wpisania się wierszem do kroniki (jak barwny ptak Łodzi

Zdzisław Jaskuła – uwaga dla monografistów i zbieraczy, wiersz zachował się!). Owe kilkanaście (kilkadziesiąt?) tomów kroniki, serce i mózg księgarni, to gratka dla badaczy życia kulturalnego miasta. Skąd wzięła się „Nike”, najpierw antykwariat, potem, gdy dystrybucją książki mógł zajmować się każdy, nie tylko wszechmocne państwo – księgarnia. Wiadomo – wyszła z książki, z ulubionej serii wydawniczej „Czytelnika”, w której ukazywali się Cortazar, Borges, Roth, Calvino, Faulkner... I był kiedyś pomysł, by „Nike” wróciła, skąd przyszła. W projekcie złożonym do czynników wyższych chodziło o publikację na temat trzech „domów książki”. Wtedy dwie, Łódzka Wypożyczalnia Książek Danuty Burskiej (której klientem, a potem obrońcą był Tuwim) oraz Księgarnia „Akademicka” Benedykta Wandachowicza, już nie istniały. „Nike” była, stała na straży. Teraz znika. Łodzianie nie czytają i nie kupują książek? „Książka kosztuje tyle, co dwie, trzy kawy na Piotrkowskiej – a kawy pite są”. Co powstanie w jej miejscu? Znowu będzie tu sklep? Czy kolejny w mieście „kapslelek”? Jak zakończyć bez chandry? Może własnej próby lepiej, w sam raz do zbioru, który na 35-lecie placówki wydał jeden z synów księgarza? Lepiej ciurą być, nędznikiem, niż w swym mieście nie mieć „Nike”.

Łukasz Kaczyński

Artykuł pochodzi z grudniowego numeru „Kalejdoskopu”